

Jeden dzień od Szczecina

Całkiem bliskie Angermünde

– **SZCZECINIANIE tu nie przyjeżdżają. Jadą do Berlina**
– **mówi Julia Wallentin, osóbką może trzydziestoletnia.**
– **Na zakupy? Blżej mają do Schwedt.**

I pomyśleć, że były takie czasy, gdy szczecinianie stale byli w Angermünde. Dziś mogą tam pojechać każdego dnia, choćby po to, żeby zobaczyć miasto (chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć) większe od Szczecina. Choćby w czwartek, bo na rynku jest wtedy targ. Jednak tamten czwartek nie był najlepszy. Targu nie było, bo było święto. I to jakie, Wniebowstąpienia – Christi Himmelsfahrt. Piekarnie i ciastkarnie Schmidta otwarto na rynku o siódmej rano.

Na przystanek opodał Blumberger Mühle podjeżdża Biber-Bus.

– Specjalnie dla pana – mówi kierowca.

Przyjechał pusty, a rusza z jednym pasażerem w środku. Luksus.

– Czemu tak mało ludzi?

– Pogoda. Normalnie pasażerów nie brakuje.

Faktycznie. Przed chwilą lało. Jednak w Blumberger Mühle ludzi było coraz więcej, a parking zapelniał się samochodami. W restauracji „Zum Grünen Wunder” zasiadła grupka osób. Jedna z kobiet, uśmiechnięta, wręczyła mężczyznom buteleczki z kokardkami. Dziękowali, cmokali: Christi Himmelsfahrt to tradycyjny Dzień Ojców.

Czy więc dlatego przez cały dzień jeździli po Angermünde czarne motory z czarnymi motocyklistami? I piwo. Im bliżej wieczoru, tym więcej młodych mężczyzn z butelkami piwa. Bo to święto męskie, które dawniej było też w Szczecinie. Mężczyźni szli wtedy grupami w Góry Bukowe. Po co?

Na pewno nie po to, żeby chodzić po górach.

Dworec w Angermünde do najprzystulniejszych nie należy, choć w sklepiu, czynnym do godz. 21, można kupić niezłą



Przed ciastkarnią Schmidta, w miejscu dawnej studni, stoją pokryte śnieżką metalowo-wodne rzeźby: ona i on, za nimi łódź, obok kot.

Fot. Bogdan TWARDOCHLEB

kawę. Do centrum miasta jest stąd pięć minut pieszo, tyle samo co do muzeum Ehma Welka i ogrodu zoologicznego. Mają tam wielbłądy jedno- i dwugarbne, strusie, kangury, zwierzęta bliskie – porządnie, jak w zoo. Są place zabaw dla dzieci? Są. Można karmić osły? Można.

Gdziekolwiek pójdzie się w Angermünde, są polodowcowe kamienie. Miejscowi poeci rozmawiają z nimi w wierszach, przypominając, że zostały przyniesione z Północy przez lodowiec, który ukształtował tutejszy krajobraz. Czy to tylko stwierdzenie faktu, czy jakaś metafora losu tych ziem?

Dawność uznano tu za wartość, którą trzeba chronić, więc nie można tu prowadzić żadnych rozbiórek. Wszystko trzeba remontować, bo wszystko da się wyremontować. Dlatego dużo tu ryglówek, tylko nieliczne domy w starym centrum są więcej niż piętrowe, a wszystkie fasady i szyldy muszą być dostosowane do charakteru miasta.

Mieszkańcy szczygą się trzema bocianimi gniazdami w centrum. Najstarsze ma ponad 160 lat.

Angermünde leży w powiecie Uckermark – to tereny dawnej Marchii Wkrzańskiej, dziś największy powiat w Niemczech, większy niż Saara, najmniejszy land. Ale Saara, leżąca przy granicy z Francją, ma ponad milion mieszkańców, a Uckermark, przy granicy z Polską – 160 tysięcy. Ponad połowę jego powierzchni zajmują rezerваты przyrody, pomiędzy którymi są stare wsie i miasta. Przemysłowe jest tylko jedno: Schwedt. Więcej nie potrzeba.

Biber-Bus, a dokładniej: autobus linii 496 z Angermünde do Angermünde przez Blumberger Mühle, odjeżdża z przystanku naprzeciw dworca. Blumberger Mühle to rezerwat bagien i ośrodek edukacyjny. W XIII w. cystersi hodowali tu karpie.

Gmach ośrodka powstał z próchna, kamieni, drewna, gliny, makulatury. Ma to znacznie praktyczne, ale i symboliczne, bo kamienie świadczą o trwaniu, a próchno – o nietrwałości, lecz i o przekazywaniu życia: gdy stary organizm obumiera, wspomaga życie organizmów nowych.

Zielone wykładziny w ośrodku uginają się pod stopami, jakby się szło po bagnie. Stare drzewo obok opowiada dzieje lasu. Na pięterku można zasiać w gnieździe i poczuć się orłem.

Blumberger Mühle należy do sieci podobnych rezerwatów, które w Niemczech prowadzą stowarzyszenia ochrony przyrody. Można tu stanąć przy trzcinach i nasłuchiwać ptaków, szukać bobrów i żółwi. W chaszczach, porastających próchniejący

las, jest tunel, a ptasi koncert w nim taki, zwłaszcza wiosną, że tylko słuchać. Wśród wysokich trzcin jest chybotałiwa ścieżka z drewnianych szczebli przez środek bagien. Można wejść? Tak. Na własne ryzyko. Kto chce, może przyjechać na wieczorny koncert żab i wachanie ziół.

W Blumberger Mühle zaczyna się rezerwat biosfery Schorfheide-Chorin z lasami bukowymi, wpisanymi na listę światowego dziedzictwa kultury.

Podjeżdża Biber-Bus. – Specjalnie dla pana – mówi kierowca. I jedzie wokół jeziora Wolletz, przez bukową knieję. Najpierw wąskim, równiutkim, asfaltem, potem po kocich łbach przez wsie i wzgórza.

Szary granit, w którym wykuto bryłę obronnego zamku, leży na wzniesieniu przy jego resztkach. W dole widać jezioro Mündsee. Zamek powstał na początku XIII w., a potem zbudowano miasto.

Od połowy XIV w. Angermünde należało do książąt szczecińskich. W 1345 r. zdobył je ks. Barnim III, który odbił też margrabiom Pasewalk, Prenzlau, Brüssow, Schwedt. Były to czasy intryg, sporów, wojen i pseudo-Waldemara – młynarza, który po śmierci prawdziwego margrabiego Waldemara udatnie go udawał.

Syn Barmina, książę szczeciński Świętobór III, jak ojciec władca o europejskim rozmachu, czynił fundacje w Angermünde. Niegłupio marzył o tym, żeby Berlin przylączyć do Pomorza, na co były szanse. Lubił tam bywać.

Bitwa trwała trzy dni i odmieniła północne Niemcy. Opisał ją również Edward Rymar, który wojnom pomorsko-brandenburskim poświęcił lata pracy. Pomorzanie wspierali Wielkopoleanie; Kantzow podaje, że 5 tysięcy, a Rymar, że półtora tysiąca i że przysłał ich król Jagiełło. Mimo to klęska Pomorzanie była wielka.

27 marca 1420 r. pod Angermünde, wówczas pomorskie, podeszła armia margrabiego Fryderyka I. Nocą, przy pomocy franciszkanów, wojsko weszło do miasta i ufortyfikowało się na rynku. Pomorzanie byli w zamku, czekając na pomoc książąt szczecińskich. Marszałek Detlef von Schwerin odradzał atakowanie miasta, lecz książę Otto II nie słuchał.

Gdy nastała kolejna noc, Pomorzanie wyszli z zamku. Skradali się uliczkami na rynek, a wtedy Brandenburczy ostrzelali ich z armat, a zaraz potem zaatakowała konnica Kaspra Gansa von Putlitz. Zginął Detlef von Schwerin, sześćdziesięciu pomorskich rycerzy, setki pieszych, trzystu dostało się do niewoli. Również Polacy z Janem Czarnkowskim, późniejszym podkomorzym poznańskim, acz nie jest pewne, czy w ogóle wzięli udział w bitwie. Księstwo Pomorskie straciło Marchię Wkrzańską.

Pomorską balladę o tej bitwie cytował w XIX w. Theodor Fontane, zestawiając ją z rycerskimi balladami szkocko-angielskimi.

Pamiętką wojen pomorsko-brandenburskich jest też XIII-wieczna baszta w Stolpe, trzynaście kilometrów od centrum Angermünde. Jej mury mają sześć metrów grubości. Dolinę Odry widać z niej pięknie.

Na co dzień rynek w Angermünde jest spokojny. Przed ciastkarnią Schmidta, w miejscu dawnej studni, stoją pokryte śnieżką metalowo-wodne rzeźby: ona i on, za nimi łódź, na krześle kot. Ich autorem jest Christian Uhlig, mieszkaniec domu za klasztorem, gdzie z żoną mają atelier.

W centrum rynku stoi ratusz, a przy nim drewniany osioł. Podobny stał tu w XVIII i XIX w., pełniąc rolę peregiera. Z wyroku sądu, na oczach gapiów, posiadawali sobie na nim oszuści i fałszerze.

W średniowieczu Angermünde nazywano miastem kacerskim. Na początku XIV w. osiedliła się tu grupa waldensów. Chcieli Kościoła ubogiego, w którym świeccy też mogliby głosić kazania i udzielać sakramentów. Zostali potępieni przez papieża i do dzieła przystąpiła inkwizycja. W 1336 r. stanęli przed trybunałem w Angermünde, a krótko na rynku stanął stos. Spalono na nim czternaście osób. Kolejny proces waldensów był w Szczecinie.

Na tym samym rynku w 1533 r. Hans Kohlhasse kupił dwa konie. Na swoje nieszczeście, bo niebawem został oskarżony o ich kradzież. Bronił się, liczył na sprawiedliwość sądów – daremnie. W końcu zebrał sobie podobnych i sami zaczęli wymierzać sprawiedliwość. Hans Kohlhasse został schwytany i skazany na śmierć. Walkę z sądami przegrał, ale historia jego była tak przejmująca, że trafił do literatury. Taką miał korzyść.

Za ratuszem jest dawny sąd z żółtej cegły i areszt, teraz siedziba policji, a naprzeciwko poczta. Właśnie tam powinęła się noga Friedrichowi Voigtowi, szewcowi, który zarabiał na życie, fałszując dokumenty pocztowe. W Angermünde wpadł i trafił do aresztu z żółtej cegły.

16 października 1906 r. był wolny. Pojechał do Köpenick pod Berlinem, kupił stary mundur kapitana regimentu gwardii i poszedł na plażę, pilnowaną przez oddział żołnierzy. Wziął ich pod swoją komendę, poprowadził na ratusz, aresztował burmistrza, pobrał z sejfu 3557 marek i 45 fenigów, wsadził wszystkich do pociągu i powiózł do Berlina. Przy Friedrichstrasse kupił żołnierzom kiełbasę i piwo, a gdy podjedli (i odchrząknęli), kazał im aresztanta odstawić do głównej wartowni przy Unter den Linden. Obsztorcował policjantów, nabył cywilne ubranie i zniknął.

Wpadł po dziesięciu dniach. Dostał cztery lata więzienia, z których przesiedział dwa, ułaskawiony przez cesarza. Zyskał wolność, sławę, przydomek Hauptmann von Köpenick, zaczął zarabiać na życie, sprzedając kartki pocztowe z własnym

wizerunkiem, kupił dom w Luksemburgu i żył spokojnie. Ale przyszła inflacja i wszystko stracił. Zmarł w nędzy 3 stycznia 1922 r., mając 73 lata. Też trafił do literatury, teatru, filmu i na schody ratusza w Köpenick, gdzie stoi jego figura z brązu. W Angermünde o nim pamiętają i wiedzą, w której celi ich aresztu siedział.

Kościół Mariacki, którego początki sięgają 1210 r., ma długie nawy, masywną wieżę i część hali z granitowych ciosów. Wewnątrz zachowało się trochę starych malowideł i detali, w ołtarzu – kopia obrazu Rubensa, kilka figur z ołtarza starszego i Matka Boska z dość ekstrawaganckim dekoltem, lecz przede wszystkim bezcenne organy Joachima Wagnera z 1744 r.

Naprzeciw kościoła jest prywatna Freie Schule, w której dzieci uczą się także polskiego. Wśród jej założycieli był pastor Justus Werdin, mieszkający w pobliskim Greiffenbergu, organizator polsko-niemieckich pielgrzymek, gość specjalny w Chojnie.

Z klasztoru Franciszkanów, który powstał około 1250 r., ocalał jedynie kościół, tragicznie doświadczony w czasie wojny 30-letniej. Angermünde niemal przestało wtedy istnieć, bo z 1500 mieszkańców wojnę przeżyło kilkudziesięciu.

Dziś w pofranciszkańskich murach udziela się ślubów, organizowane są spektakle i koncerty (w najbliższą niedzielę zagra tam Akademia Muzyki Dawnej ze Szczecina). Będąc tu, warto przyjrzeć się smukłości murów, resztkom malowideł, zarysom jakichś twarzy na jednej ze ścian, trwałości blizn na murach.

Christan Uhlig organizuje w Angermünde międzynarodowe plenery rzeźby kamiennej. Galeria takich rzeźb jest nad Mündsee i nazywa się „Steinzeit der Moderne” – „Kamienny czas nowoczesności”. Koresponduje z wystawą rzeźby na placu przed dawnym zamkiem. Wielkie szare i czerwone granity są też w miejscach, gdzie były kiedyś cztery miejskie bramy,



Ryglówki przy Klosterstrasse. W głębi kościół pofranciszkański.

Fot. Bogdan TWARDOCHLEB

w dawnej fosie za klasztorem i przy klasztorze. Niedaleko dworca jest pomnik ku czci żołnierzy radzieckich, a obok kamień z napisem: „Die Toten mahnen die Lebenden” – „Umarli napominają żywych”.

Muzeum Ehma Welka i jednocześnie muzeum miasta jest skromne.

– Pracuję tu trzy lata i jest pan pierwszym gościem z Polski – Julia Wallentin, która muzeum prowadzi, szeroko otwiera oczy.

Ehm Welk (1884-1966) pisarz, dziennikarz i dramaturg, przed wojną współpracownik reformatora teatru Erwina Piscatora, urodził się pod Angermünde, uczył w Szczecinie i praktykował w szczecińskiej prasie, a potem znalazł się w Berlinie. Gdy w 1934 r. opublikował artykuł krytykujący Goebbelsa, trafił do KZ Oranienburg, skąd wydostali go przyjaciele. Wyjechał na prowincję i ogłosił legendarną powieść „Die Heiden von Kummerow”, sagę o dzieciństwie w pomorskiej wsi.

Lata wojny spędził w Neuenkirchen – Dołujach pod Szczecinem.

Gdy obchodzono w Angermünde 125-lecie jego urodzin, często pytano o jego stosunek do nazizmu. Był więziony i szkanowany, nie wspierał nazistów, ale też nie wyjechał wtedy z Niemiec, wydawał książki, dostawał nagrody. Życiorys Ehma Welka, pisarza znakomitego, w Polsce nieznanego, nie pozwala na łatwe odpowiedzi.

Od 1992 r. powiat Uckermark funduje nagrodę literacką jego imienia.

Po Angermünde trzeba łązić, oglądać domy, kościoły, bramy, zaułki, ogrody, wmyślać się w kamienie. Można pojechać do pobliskiego Gramzow, gdzie jest Muzeum Kolejnictwa i wystawa o kolei Berlin – Szczecin.

Wśród dań, jakie serwuje restauracja Wallenstein przy rynku, są klopsy königsbergskie (czyli chojeńskie). Jesienią będzie w Angermünde Tydzień Ziemiaka – Nudl-Woche i specjalność szczególna – Nudlschluck, wódka ziemniaczana.

Dlaczego kartofel nazywa się tu nudl? A, to jest historia bardzo ciekawa...

Na dobrą sprawę nie wiadomo więc, czemu szczecinianie nie zaglądają do Angermünde. Wprawdzie mieszkańców jest tu tylko 15 tysięcy, lecz jeśli chodzi o powierzchnię miasta (chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć), Angermünde jest dużo większe od Szczecina.

Bogdan TWARDOCHLEB

Artykuł napisany w ramach stypendium dziennikarskiego Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.